

A photograph of a room with a wall-mounted rotary phone and a bed. The phone is a vintage model with a coiled cord, mounted on a light-colored wall. Below the phone is a bed with a light-colored, possibly stained, mattress. The room is dimly lit, with a soft light source from the right. The text is overlaid on the left side of the image.

ZOŠKA
PAPUŽANKA
PRZEZ

MARGINESY

PONIEDZIAŁEK

Obudził się przed ósmą, podrapał się po plecach. Zdziwiał się, że jeśli podrapać w jednym miejscu, plecy natychmiast zaczynają swędzieć w innym. Właściwie można się w nieskończoność drapać po plecach. Chciał od rana rozpocząć pracę i zainstalować się przy okiennym pająku, ale zaburczało mu w brzuchu. Odruchowo włożył spodnie, koszulkę i sięgnął po buty, kiedy przypomniał sobie, że nie może iść do sklepu. Nie może w ogóle nigdzie iść. Praca to praca. Napił się wody z kranu, włączył laptopa i wyszukał adres najbliższego marketu oferującego dostawę do domu. Zamówił chleb, jajka, masło, wędlinę w paczce, pierogi do podgrzania na parze, lazanie i pizzę do podgrzania w piekarniku, prawdziwe dania praw-

dziwego samca na łowach, krokiety do podsmażenia na patelni i płyn do prania. Przetrzęsął szafki w kuchni. Znalazł sól, cukier, worki na śmieci, właśnie, jak wyrzucić śmieci bez wychodzenia z domu, jeszcze kilka torebek herbaty z żółtą metką, jakieś ścierki, w połowie pełną butelkę płynu do mycia naczyń z korkiem lepkiem od cudzych palców. Usiadł przy aparacie. Za późno. Na pewno już wyszła.

Zobaczył nieogolonego faceta, którego nie lubił, faceta z wypiekami podobnymi do starej mortadeli, niewyspanego, wczorajszego. Zobaczył go w lustrze. Nic by nie dało, nawet gdyby ten facet się ogolił, natarł kosmetykami, elegancko ubrał. To nie był facet do lubienia. Trudno, pomyślał, dystans i takie tam. Umiejętność kpienia z siebie, autodowcip, egoironia. Liczy się wewnątrz, wewnątrz, Sokratesie. Zresztą obiektyw wcale nie szuka piękna, tylko tego, co interesujące. Polujmy zatem.

Chodnik przed blokiem był pusty. Przy budce stał pan strażnik szlabanu, pilnował szlabanu i palił pa-

pierosa. Zamknięte osiedle. Wszystko uporządkowane i zabezpieczone przed ludzkim wzrokiem rzędem szybko rosnących tuj. Wyznaczone białymi liniami miejsca do parkowania. Trawa na trawniku, śmieci w śmietniku, psia kupa do worka na psią kupę, worek do kosza z workami na psie kupy. Jak teraz wyjść, jak wrócić. Przypomniwał sobie nocne pijane spacer, czasem na nogach, gdy nie stać ich było na taksówkę. Buty skrzypiały śniegiem, alkohol wietrzał pod czapką, parował w przyciśniętym do ust szaliku, szli i szli bez czasu zupełnie, niepilnowani przez nikogo. Nieprawda, czas był zawsze, musiał być. Wczoraj pod podniesionym szlabanem przeprowadził go właściciel mieszkania, ale co teraz, jakieś kody, sekretne hasła, gdyby jednak zechciał wyjść, czy będzie musiał się wylegitymować, tłumaczyć. Czy kiedy przyjedzie dostawca ze sklepu, trzeba otworzyć mu szlaban białym pilotem leżącym na parapecie, czy poczekać na reakcję pana strażnika szlabanu. A pan do kogo. Jeśli pan nie wie, do kogo, to nie można, nie można po prostu powłóczyć się i po pijaku wracać byle którądy.

Zerwał się na dźwięk domofonu. Dzień dobry, zakupy, które piętro. Które piętro, czwarte. Czatował przy judaszu, grzebiąc niespokojnie w kieszeniach. Może da się zapłacić kartą.

Czy można zapłacić kartą, spytał wysokiego, uśmiechniętego chłopaka, który podał mu dwie duże, papierowe torby, pełne potrzebnych rzeczy, mój Boże, ile rzeczy człowiek uważa za potrzebne, nie sądzi pan. Z tego żyję, odparł chłopak, że ludzie wiele rzeczy uważają za potrzebne, można kartą, proszę wpisać pin i zielony. Pin i zielony, a pan samochodem dostarcza, prawda, jak pan wjechał, to znaczy ja tu mieszkam dopiero od wczoraj, mieszkamnie-mieszkam, właśnie się zorientowałem, przecież na dole jest szlaban i strażnik pilnujący szlabanu. Koleś mnie zna, odpowiedział chłopak, odrywając biały język rachunku, do wielu ludzi tu przyjeżdżam z zakupami. Do wielu, aha, a do kogoś z bloku naprzeciwno też pan przyjeżdża, bo widzi pan, ja tam kiedyś, ale to było dawno. Potwierdzenie, dziękuję, miłego dnia, powiedział chłopak i odwrócił się na pięcie. Jakże

miło być takim miłym chłopakiem z miłym uśmiechem i z życzeniami miłego dnia. Strażnik go wpuszcza, chodzi sobie miły chłopak, wystukuje trampkami wszystkie piętra i wie wszystko o wszystkich.

Jak to się robi. Chleb, masło, plaster wędliny. Trzeba mówić, co się robi, uważać. Słuchać głosu. Słuchać siebie. Chłopak od zakupów, który chodzi po piętrach. Strażnik szlabanu, który zna wszystkich. Zapisać. Plaster wędliny. Dlaczego się mówi plaster wędliny, przecież plaster jest na ranę. Ona zwykle robiła mu rano śniadanie. Nawet gdy wychodziła wcześniej, zostawiała na stole kanapki i ciepłą kawę w dzbanku, wystarczyło przelać do filiżanki i cieszyć się zapachem ciepłego, świeżego dnia, wgniecioną od ich ciał pościelą. Może już wyszła. Na pewno już wyszła. Za późno. Nie, to dopiero początek. Opo-
wieść się rozpoczyna.

Strażnik pochyła się nad zapalonym papierosem, opiera plecy o budkę, wypuszcza dym. Pstryk. Człowiek ze szlabanem. Ma na sobie kamizelkę koloru

khaki z mnóstwem kieszeni. Kamizelka wędkarza. Kieszenie na wszystko. Szlaban pręży się przed małym samochodem jak zdrowa gałąź silnego drzewa. Strażnik podchodzi powoli, czeka, aż kierowca opuści szybę do końca. A dokąd to. A do kogo. A po co. A który numer mieszkania. Kierowca wystawia rękę przez okno, pokazuje coś, tłumaczy się przedstawicielowi władzy i porządku. Strażnik powoli, z łaski, wchodzi do budki. Mija dobre pół minuty, zanim szlaban podnosi się i samochód może przejechać. I cała niezależność, całe mogą sobie robić, co mi się podoba, całe odpowiadam za siebie, całe nikt mi nie będzie mówił, jak mam żyć, bo to moja sprawa, całe te wolnościowe slogany kładą głowę na pniu przed szlabanem i jego władcą. Zamknięte osiedle Stąd-Dotąd, opowieść się rozpoczyna, myśli człowiek w oknie, jakże się pięknie, bezpiecznie rozpoczyna.

Chciał zrobić zdjęcie Znanemu Pisarzowi podczas spotkania z czytelnikami. Znał dwie książki Znane-
go Pisarza, dotarł do Znanego Miejsca odpowiednio

wcześniej, by wybrać w Znanym Miejsu dobre miejsce do zrobienia dobrej fotografii, ale dziadek nikon 801 zawstydził się na widok eosów z półmetrowymi kominami obiektywów, nie chciał w takim Znanym Towarzystwie pokazywać swojego brzucha, nakarmionego najtańszym filmem Fuji, zielonkawym dzieckiem hurtowni, i w ogóle nie wyszedł, nawet nie wystawił głowy na zewnątrz. W ogóle. Usiadł ze swoim właścicielem w przedostatnim rzędzie i postanowił czekać na czasy, w których termin bieda zostanie zastąpiony terminem oldskulowość.

Właściciel nieśmiałego aparatu fotograficznego wsłuchiwał się w szeleszczące spółgłoski języka Znanego Pisarza i udawał, że rozumie i że robi notatki, zanim jeszcze piskliwy głos tłumaczki wyjaśnił, o czym mówił Znany Pisarz, inkrustując jego słowa świszczącym przydechem zastanowienia. I chociaż właściciel aparatu nie czekał na nikogo, uświadomił sobie, że czekał całe życie właśnie na tę chwilę, w której ona weszła do sali. Spóźniła się. Bardzo się spóźniła. Znany Pisarz odpowiadał na czwarte pyta-

nie i już mu się nie chciało kolejnych, dlatego omiótł spóźnialską rozdrażnionym wzrokiem. Usiadła w trzecim rzędzie od końca. Powinna usiąść w ostatnim, był prawie cały wolny, ale wołała przepchnąć się przez dwie osoby i usiąść w trzecim od końca, tuż przed nieśmiałym nikonem. Przerwała jego właścicielowi udawane zrozumienie całkiem obcego języka i udawaną miłość do literatury. Chrząknął znacząco, ale dla niej to chrząknięcie nie miało znaczenia. Posiedziała minutę i rozpięła zamek w kurtce. Posiedziała kolejną minutę i zdjęła kurtkę. Powiesiła kurtkę na oparciu krzesła, kołysząc się przy tym, jakby koniecznie chciała się wywrócić i złamać kręgosłup. Kurtka powisała minutę i zsunęła się z oparcia, a wraz z jej upadkiem na podłodze znalazła się cała udawana miłość do literatury i podziw dla Znanego Pisarza, na jakie mężczyzna w przedostatnim rzędzie, obecnie z cudzą kurtką na kolanach, mógł sobie pozwolić. Ponieważ ani kurtka, ani kobieta nie zauważyły chwilowej separacji, położył rękę na ramieniu kobiety, która zwróciła się do niego nie-

zadowolonym profilem z nieco zbyt dużym, choć ładnym nosem, nie przeszkadzaj, przecież słucham, takie interesujące spotkanie; zabrała podaną kurtkę i odłożyła na wolne krzesło. Posiedziała minutę i odgarnęła włosy. Wyjęła z torebki butelkę wody mineralnej. Upiła łyk. Schowała butelkę do torebki. Posiedziała minutę, podczas której Znany Autor postanowił w duchu, że jeśli jeszcze raz ktoś go spyta, a dlaczego właściwie Pan pisze albo ile w Pana prozie jest Pańskiego prawdziwego życia, a ile Pańskiego nieprawdziwego życia, wyjdzie, po prostu wyjdzie, trzaśnie drzwiami w ich literackie profanum, albo najpierw powie brzydkie słowo, a potem trzaśnie, zapomniawszy, że jest Znanym Pisarzem, albo też przypomniawszy sobie w porę.

Posiedziała minutę, wpatrzona w Autora i rozważająca, kiedy zadać pytanie, ile w Pańskiej prozie jest z prawdziwego nieprawdziwego, ale stwierdziła, że wcześniej się przygotowuje, by zapisać ewentualną odpowiedź. Wyjęła notatnik, z którego natychmiast wypadło kilka zdjęć, papierek po gumie do żucia

i pocztówka, schyliła się i człowiek z niewykorzystanym aparatem fotograficznym mógł zobaczyć Znanego Autora takim, jakim widział go wcześniej, bez filtra jej włosów, bez jej kurtki, bez jej zapachu. Znalazła w torebce długopis, pstryknęła nim kilka razy, dla pewności, ale długopis postawił pół ślimaczka i odmówił posłuszeństwa. Próbowwała go obrazić, zakłąć, rozpisać, ogrzać, poszukać innego, pożyczyć od sąsiadek, a Znany Autor postanowił się uratować i powiedział, że skoro nie ma więcej pytań, bardzo dziękuje i było mu uroczu. Wyszła ostatnia, pozbierawszy wszystkie długopisy i okruszki chleba na ścieżce w lesie słów, oddzieliwszy mak od piasku i własne rozczarowanie od gaszonego światła.

Człowiek, który stał w sąsiedniej bramie, ruszył za nią w kierunku przystanku tramwajowego, zafascynowany jej nieustannie rozwiązującą się sznurówką, włosami wpadającymi do ust i zapięciem kolczyka, walczącym zaciekle o teren z frędzlami szala. Człowiek z dziadkiem nikonem. Facet od zdjęć. Żadnych zdjęć już nie będzie, za późno na ostatnie, za

wcześniej na pierwsze, ale w facecie od zdjęć podjęła się właśnie decyzja i szedł za dziewczyną, bo już wiedział, nie wiedział jeszcze tylko co. Chciał tej dziewczyny. Nie, nie tak. Ona chciała jego. On był jej najniezbędniejszy w świecie. Prosiła się nerwowym krokiem, niezdecydowaniem, czy czekać na tym przystanku, czy przejść na następny, niespójnymi wątkami samorozwiązujących się sznurówek prosiła o pewność. Błagała o harmonogram. Jak można w ogóle podlegać grawitacji przy takim stopniu zaniedbania praw fizyki, logiki, praw jakichkolwiek.

Zatrzymała się niedaleko przystanku. Wsadziła do ust papierosa i przeszukiwała kolejno kieszenie kurtki i przepaście torebki. Idealna. I w dodatku pali. Będzie mogła mu zawdzięczać zarwanie z nałogiem. Oraz wiele innych spraw, wiele wdzięczności tylko dla niego. Tylko co teraz. Co – to wiadomo. Nie wiadomo tylko jak. Gdyby tak w przebiegłości niepojętej zapalić również, znalazłszy zapalniczkę w jednej chwili, ona musiałaby podejść, zapytałaby, czy nie może mi pan pożyczyć zapalniczki albo czy

nie mogłabym pana poprosić o ogień, poprosić – lepiej, oczywiście tak od razu nie poszliby do łóżka, do tego trzeba zapewne myśleć, że się kogoś kocha albo że już naprawdę nie może być inaczej. Albo nie móc się opanować, ale to raczej głupie, nie móc się opanować. W świetle zapalniczki zobaczył jej twarz. Ty chytry lisie, pomyślał, żadna ci się nie oprze, jeśli będziesz wiedział, jak zagrać, teraz zagadaj i będziecie żyli długo i szczęśliwie, może nawet tramwaj nieprędko przyjedzie; czy ja pana przypadkiem nie widziałam na spotkaniu ze Znanym Autorem, spytała, chyba nie szedł pan za mną specjalnie.

Tak, to znaczy nie, jak najbardziej, ale wcale, powiedział, byłem, ale nie szedłem, może i szedłem zresztą, ale nie specjalnie, nie, pomyślał, nie tak przecież, nie można się pogubić w pierwszej linii, jest w tych sprawach pewien schemat i schemat działa. Ogień, ogień podać teraz i spytać, jak się pani spotkanie podobało, albo może lepiej od razu czy nie uważa pani, że proza Znanego Autora jest zbyt brutalna, że zniekształcenie rzeczywistości oscylujące

ku wizjom apokaliptycznym, że ten zapis bez pauz dialogowych, nie da się tego czytać. Chce pani zapalić, spytał, potrząsając zapalniczką. Dziękuję, za dwie minuty mam tramwaj, zapalę, jak wysiądę, jeśli znajdę zapalniczkę, zaśmiała się. A więc nie mieszka daleko, wytrzyma, pomyślał, teraz jak się pani podobało i natychmiast zgrabny przeskok do chyba czekamy na ten sam tramwaj. Zresztą po co pan i pani, przejście na ty zaproponować, schemat jest konieczny, ale bez archaizacji, naturalnie. I jak się panu podobało spotkanie, spytała, okropna ta tłumaczka, prawda, cedziła jak durszlak z zapchanymi dziurami, a Znany Autor wyraźnie zmęczony, to chyba musi być męczące, ciągle te pytania ile w pana prozie życia w życiu i tak dalej, a wszędzie ci dziennikarze i fotoreporterzy, a pan też robił dzisiaj zdjęcia, bo ja się trochę spóźniłam, nie jedzie pan tym tramwajem? Nie, nie jadę, odparł, ale z przyjemnością zrobiłbym pani zdjęcie. Kiedyś. Może mówmy sobie na ty, zresztą ja fatalnie wychodzę na zdjęciach, to wszystko przez nos, nigdy nie wiem, co zrobić z nosem, naprawdę

już muszę jechać. Niech pani do mnie zadzwoni, zadzwoń do mnie, powiedział, podając jej wizytówkę, przygotowaną wcześniej, ogrzaną już w dłoni. Ja zawsze gubię wizytówki, westchnęła, stawiając nogę na stopniu tramwaju, zadzwonię może.

Nawet się wczoraj nie przedstawiłam, powiedziała przez telefon, sama nie wiem, kawa może być, może być i wino, jak wolisz, bo mnie się trudno zdecydować. Boże, jakie to proste, pomyślał, jakie to proste, że ona taka prosta jest, prosta jak od linijki, zdania pojedyncze niezmetaforyzowane, żadnej woli czy preferencji, plastelinowy mały świat. Dobrze, wino o osiemnastej, będę czekał na przystanku, odpowiedział, skreślając w głowie punkt: wino 18.00, z listy, na której zapisał już, że trzeba będzie jej wszystko zapisywać, że dzieci nie wcześniej niż trzy lata po ślubie, że normalne obiady dwudaniowe, domowa kuchnia, zero dań odgrzewanych, w co drugą niedzielę u teściowej, a jeśli papierosy, to tylko na balkonie; żadnych zwierząt domowych, bo sierść, do znajomych tak, ale od rewizyty wykręcać się angina, bo trudno ich wypro-

sić i za dużo zmywania. No i ona musi coś zrobić z włosami, spać, związać; na urodziny kupić jej małą torebkę, małą, żeby nie mogła tego wszystkiego przy sobie nosić jednocześnie, żeby musiała dokonać wyboru. Wybór trudna rzecz, oścista. Często jej mówić, że się ją kocha, się ją, bo kobiety w to wierzą. Jak się mówi, to można działać właściwie dowolnie; ofiarować poczucie bezpieczeństwa, które daje precyzyjny rozkład jazdy, odpowiednio rozplanowany harmonogram. Możesz przyjść o osiemnastej piętnaście, powiedziała, ja się zawsze spóźniam. No dobrze, postaram się, nie obiecuję, ale się postaram, obiecała, odkładając słuchawkę, i kiedy zobaczył ją wysiadającą z tramwaju pięć po szóstej, pomyślał, że to będzie łatwe, prościusienko będzie ją kochać. Niecały rok później, kiedy się jej oświadczał z pierścionkiem w aksamitnym pudełku, wśród aforyzmów z pamiętników z podstawówki, myślał, że ją kocha, i nie miał powodów, żeby się podejrzewać o kłamstwo.

Nie zapytał. Tak jest lepiej, jeśli bowiem zapytać, człowiek zaczyna się zastanawiać, czy ją go Kocham,

czy chcę go nie opuszczać aż do śmierci, czy właśnie z nim chcę się kłócić i przepraszać i mieć wspólny czajnik. Nie zapytał, więc się nie zastanawiała. Przyjęła jego plan, nie wiedząc o jego istnieniu, jak ptak nie wie o powietrzu. Podobała się jej ta zwyczajność, którą jej dawał, bo chciała pewnych rzeczy po prostu, jak każdy. No tak, jak każdy. Szczęścia na przykład.

Nikt nie rozpakowuje walizki, jeśli wie, że zostanie w hotelu na dzień lub dwa. Pozwala się ubraniom gnieść w znanym sobie towarzystwie. Natomiast kiedy zostaje się na długo. Długo, dłużej, to nic nie znaczy, zostaje się na tyle, na ile się powinno, i wtedy się odchodzi, gdy to konieczne. Trzeba po prostu wiedzieć, na tym polega dojrzałość, trzeba wiedzieć, kiedy spakować walizkę, a kiedy rozpakować. I na jak długo.

Stał przed otwartą szafą i milczał. Nie miałby zresztą do kogo się odezwać, to oczywiste, a milczy się zawsze do siebie. On milczy już tak długo, że nie

warto tego pisać, ale nie zawsze się pisze to, co warto pisać, co jest czegoś warte. W ogóle ani ja, ani on nie założylibyśmy się, że słowa cokolwiek są warte.

Milczy do siebie. Szafa stoi przed nim ze swym pustym brzuchem jak wypatroszony trup z prosektorium. Tylko wieszaki żeber i białe przegródki półek, prostokątne trumienki na jego niewielki dobytek. To nie, to do prania. Półki wyglądają na czyste, przetarte, ale jeśli trafić palcem w róg, zawsze znajdzie się popielaty zarodek kurzu. Kurzu obcego człowieka. Krótki, jasny włos. Małeńkie ziarenka, resztki czegoś świata, pamiątki po zabranych, spakowanych ubraniach, które mieszkają gdzie indziej.

Przydałby mu się garnitur. Mógłby kupić garnitur, tylko że to jest trudne, trzeba wyjść, przymierzyć, obracać się przed lustrem i mieć przygotowane argumenty dla zachwyconych sprzedawczyń, że wcale nie ma powodu do aż takiego zachwyty, z jakim one wyrażają pragnienie sprzedania garnituru. Lepiej nie. Garnitur kupuje się na pogrzeb. Albo do ślubu.

Przez uchylone okno wpadły dźwięki gruchających zalotów. Podeszedł do balkonu, żaluzje, jak można było zapomnieć o żaluzjach. Po poręczy kroczył najpopularniejszy zalotnik świata, kręcąc szmaragdową szyją. Tupał i nawoływał, kręcił się i niecierpliwił, oto bowiem znalazł najpiękniejszy, całkiem pusty, najbardziej niczyj balkon świata i uznał go za swój, co ogłosił gruchaniem, a teraz przydałby mu się ślubny garnitur. Przyjdź do mnie, przyjdź do mnie, władam balkonem, wołam cię i stroszę się, władam balkonem i niezaciągniętą żaluzją i zaraz cię znajdę. Zaraz sama przyjdiesz, zawezwana, nie oprzesz się urokom niczyjego mieszkania, a potem stukniemy się dzióbkami i złożymy piękne, półprzezroczyste jajko, i zasramy sobie nawzajem cały świat naszego niczyjego balkonu. A potem ktoś nas przeklnie, ścierając nasze wyschnięte w upale gówna, i zrzuci bezlitośnie z czwartego piętra nasze niczyje dziecko, zamknięte w białym, miękkim domku, zupełnie swoim własnym, i nie będziemy mieli dziecka, będziemy mieli tylko zasrany balkon, bez reszty nie nasz.

Jeden ruch żaluzji w dół wystraszył gołębia. Koniec historii. Idź się zalecać gdzie indziej.

Zawsze coś zostaje. Choćby posprzątać, zetrzeć, schować, wyrzucić, zawsze zostaje. W cienkich szparach między panelami na podłodze resztki czyjegoś naskórka, schodzone ciało, może gdyby podlać, wyrósłby człowiek, ten obcy człowiek, który tu mieszkał. Po kurzu, jaki człowiek zostawia po sobie, podobno można poznać, czy na coś choruje, co je, ile razy w tygodniu się kocha, ile razy się myje, kurz wie to o swoim człowieku. Oczywiście trzeba kurz obejrzeć pod mikroskopem, gdzie już nie jest szarym kłębem, ale płataniną pięknych, kolorowych dróg. To, co krąży w powietrzu i zatrzymuje się w mieszkaniach, pyłki roślin. Roztocza, które zjadłyby swojego człowieka, gdyby były większe.

Łazienka z nazbyt licznymi miejscami spotkań ściany ze ścianą, płytki z płytką, przy wannie ścieżka fugi nabierającej koloru człowieka. Można pochylić się nad resztkami czyjegoś świata i wydłubać pa-

znokciem, co kiedyś było ciałem, ciałem w płynie do kąpieli, włosom w szamponie do włosów. Choćbyśmy się myli i zacierali ślady, i tak zostajemy w szparach przypodłogowych, i tak krążymy w powietrzu.

I zawsze, zawsze w szufladzie ze sztućcami. Nigdzie na świecie nie ma idealnie czystej szuflady ze sztućcami. Sztućce się myje i wkłada do szuflady czyste, a szuflady są brudne. Ukrywają w czarnych rogach jakieś resztki, nie wiadomo skąd wzięte, jakby odkładały zapasy na zimę.

Stoi w białej kuchni, czystej, ale brudnej. Wyciąga szufladę ze sztućcami, sześć łyżek, sześć widelców, sześć noży i sześć, nie, pięć małych łyżeczek. Łyżeczek do herbaty albo do ciasta, tych łyżeczek, które robią coś wyjątkowego, domowego. Jedna się zgubiła. A może odeszła z własnej woli. Nie wie. Nie może wiedzieć, bo tego nie wiadomo. Wydłubuje z rogu szuflady ciemny okruszek, czyjś brud, zostawiając nieświadomie fragment swojego brudu w tym samym miejscu.

Nie chciała. Musiał długo tłumaczyć, argumentować, że musi ćwiczyć, że ruch uchwycić najtrudniej, ruch i światło, sama zobaczysz, co się dzieje z twoją twarzą, gdy światło gryzie ją z różnych stron, będziesz młodszą, starszą, poważniejszą, radośniejszą, chociaż nic się nie zmieni, w tobie nic się nie zmieni. Nie, odpowiadała, nie i nie, to ja mam zmieniać, nie światło. Jeśli tego nie widzisz, ależ właśnie widzę, przerywał i brał ją za rękę, właśnie widzę i dlatego chcę zatrzymać, nie rozumiesz, to tak, jak zapisać ważne zdanie, sentencję z książki, której nie chce się zapomnieć. Chcę, żebyśmy się zatrzymali, chcę ciebie zatrzymać. Nie musisz mnie zatrzymywać, ja jestem, będę, zdjęciem mnie okradasz. Okradam, śmiał się, ale zaciskał zęby, nie spodziewał się sprzeciwu, kobiety przecież powinny chcieć, żeby im robić zdjęcia, mówi się cokolwiek, ładnie wyjdiesz, kochanie, pokażesz koleżankom, pochwalisz się, a chodzi o próbę ziarna albo ćwiczenia w kadrowaniu; okradam, ale dla siebie cię okradam. Nie musisz kraść, masz mnie. Skarby się kradnie, a teraz oprzyj się o poręcz, poczekaj,

wejdę piętro wyżej, z góry jesteś piękna, pokażesz koleżankom. Tylko się nie garb. Odchyl się, ale się nie garb. Na szarym tle wszystko wychodzi, wszystko.

Czy ty się spotykasz ze mną czy z tłem, spytała kiedyś, siedząc w fotelu w jego mieszkaniu, ze mną czy ze ścianą, z murem, z cegłą, betonem, liściem w parku, strukturą fakturą, z kim się spotykasz. Popatrz, powiedział, jesteś wszędzie, mam cię na każdej ścianie, w dziesięciu albumach, w stu plikach, znam każdą twoją linię prostą i każdy zakręt, każdy twój gest, struktury faktury twoje o każdej porze dnia, jesteś zapisana w każdym ubraniu, w każdej chwili, zapisana, zdjęta, zamknięta. Widziałem cię w pionie, w poziomie, pod każdym kątem. Mam się rozebrać. Nie, nie chcę, tak jest dobrze, tylko włosy rozpuść. Chyba powinnam je trochę podciąć, nie uważasz. Mogę się rozebrać. Mogę zdejmować wszystko po kolei, a ty będziesz sobie fotografował. Wszystko po kolei. Nie, lepiej nie, zbyt mało jeszcze wiem o fotografowaniu aktów, nie będę zadowolony, skóry struktury, nie trzymaj tak palców, nie razem, niech każdy robi, co

chce. Ale one robią, co chcą, chcą być razem właśnie. A gdybym się rozebrała, mogę się rozebrać, możemy poćwiczyć akty, a potem. Nie, do tego potrzebny jest nastrój, nie można się przygotować, bo. Ale ja właśnie jestem przygotowana i mam nastrój, rzucała w niego kłębkami zwiniętych rajstop; rozłożyły się na podłodze jak dym, ciemny dym z czegoś, co ucieka, choćby to coś zatrzymywać. To nie będą dobre zdjęcia, naprawdę. Głuptasie, nie o zdjęcia mi chodzi, zaśmiała się, wystawiając nogi na oparcie kanapy, będziesz mi musiał pomóc z tym zamkiem, sama nie dam rady. Chłodno. No dobrze, westchnął, ale naprawdę nie będziesz zadowolona; ciało jest trudne, ma tyle miejsc, zakamarków, załamań, wnęk. Znam cię, ale im bardziej znam, im głębiej, to jest też głębsze, trudniejsze. Podnieś ręce. Załóż nogę na nogę. Jeśli chcesz się położyć, to lepsze będzie zdjęcie z góry. Marszczysz czoło. Mrugnęłaś. Znowu mrugnęłaś. Nie mrugam, przymykam oczy. To przymknij, bo wygląda, jakbyś mrugała. A troszkę w lewo, całe ciało w lewo, wtedy nie widać, że jed-

ną pierś masz większą. Każdy ma jedną pierś większą, człowiek nie jest symetryczny. Nie mów przez chwilę; kiedy mówisz, pokazujesz zęby. Złącz nogi, to jest akt, nie pornografia. A gdyby to była pornografia, co wtedy, spytała, odłóż na chwilę ten aparat, dobrze. Poczekaj, ruszyłaś stopą, dziwnie to wygląda. Jeszcze raz. O tak, wyprężyła plecy, jeszcze raz i jeszcze raz, ile razy tylko będziesz chciał. Masz znacznie jaśniejszą skórę na pośladkach, pewnie lato jeszcze schodzi, opalałaś się, to można skorygować, kupiłem nowy program do obróbki zdjęć, można prawie wszystko skorygować. Nie koryguj mnie już, powiedziała, bo mi zimno, chodź tu. Teraz prawie wszystkie zdjęcia się koryguje, rzadko który fotograf. Czyli fotograf już niczego nie musi umieć, nawet nie musi wiedzieć, pod jakim kątem trzymać aparat, potem się i tak przytnie, pozmienia, prawda. Wcale nie, musi wiedzieć, przecież jest odpowiedzialny za całą kompozycję i nawet jeśli później poprawia jakieś elementy, to w imię kompozycji. Kompozycji, rozumiem, czyli jestem tylko kompozycją. Nie, jesteś

aż kompozycją, nie ma nic ponad kompozycję, zrozum, nie rozumiesz. Nie, nie rozumiem, przecież na mnie patrzysz. Patrzę na ciebie, a ty jesteś kompozycją, patrzę na kompozycję. Trzeba nad tym panować, nad światłem, o, zobacz, trochę cienia na ramieniu i już wszystko do niczego. Tak na mnie patrzysz, tylko tak. Kiedy myślę o twojej skórze, szukam miejsca, z którego zobaczę ją w najlepszym kolorze. Kiedy patrzę na twoją szyję, myślę o tym, jak powinnaś ją odgiąć, żeby linie były swobodniejsze. Patrzę na twoje kolana i zastanawiam się, jak je ułożyć, kolana zawsze wychodzą idiotycznie, nie uważasz. Zimno mi, mruknęła, muszę się ubrać.

Nie gniewaj się, naoglądałaś się filmów, rozbierana sesja, a potem modelka i fotograf obowiązkowo idą do łóżka, tak? Nikt normalny się nie podnieca w trakcie robienia zdjęć, przecież to jest praca, przestań. Ja nie umiem patrzeć na ciebie tak, nie umiem teraz, patrzę przez, żeby było tak, jak chcesz, trzeba patrzeć bezpośrednio. Właśnie, powiedziała, właśnie.

Gdybym miał opisać tę prozę jednym słowem, zdecydowałbym się na „uważność”. Papużanka swobodnie wydobywa z tła detale, których człowiek nieuważny nie dojrzałby nawet pod mikroskopem. Z tych szczegółików, mrugnięć, drobnych gestów, machinalnych powtórzeń, ulotnych obserwacji formuje się subtelna historia o miłości, tęsknocie i entropii. Piękna literatura.

PIOTR KOFTA

Wynajmuje mieszkanie. Nie wychodzi. Ukradkiem robi zdjęcia żonie, którą porzucił. Czy chce wrócić? Chce coś udowodnić? Komu? A może tylko poddaje się fascynacji spiralną koncepcją czasu, obsesji pamięci, która każe nam wracać. Pierwsza od czterech lat powieść Zośki Papużanki, uznanej za jedną z ciekawszych polskich pisarek.

Pisarstwo Zośki jest jedyne w swoim rodzaju: mocne, konkretne i wyczulone na wszelką dziwność. Spacer *Przez* ten niezwykle świat był pięknym doświadczeniem. Zazdroszczę każdemu, kto ma je dopiero przed sobą.

ŁUKASZ ORBITOWSKI



ZOŚKA PAPUŻANKA

– mieszka i pisze w Krakowie, uczy języka polskiego. Zadebiutowała w roku 2012 *Szopką*, która przyniosła jej nominacje do Nagrody Literackiej Nike i do Paszportów „Polityki”. W 2016 roku ukazała się jej druga powieść, *On*, nominowana do Paszportów „Polityki”, nagrody Gryfia i wyróżniona tytułem Krakowskiej Książki Miesiąca, a w 2017 roku zbiór opowiadań *Świat dla ciebie zrobiłem*.

www.morginesy.com.pl



9 788366 500112

cena 42,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



KRAKÓW
MIASTO LITERATURY
UNESCO

w sprzedaży także

